Nr. 25 Rok … Kraków, dnia 18 czerwca 1944. …0 gr.

Ilustrowany Kurier Polski

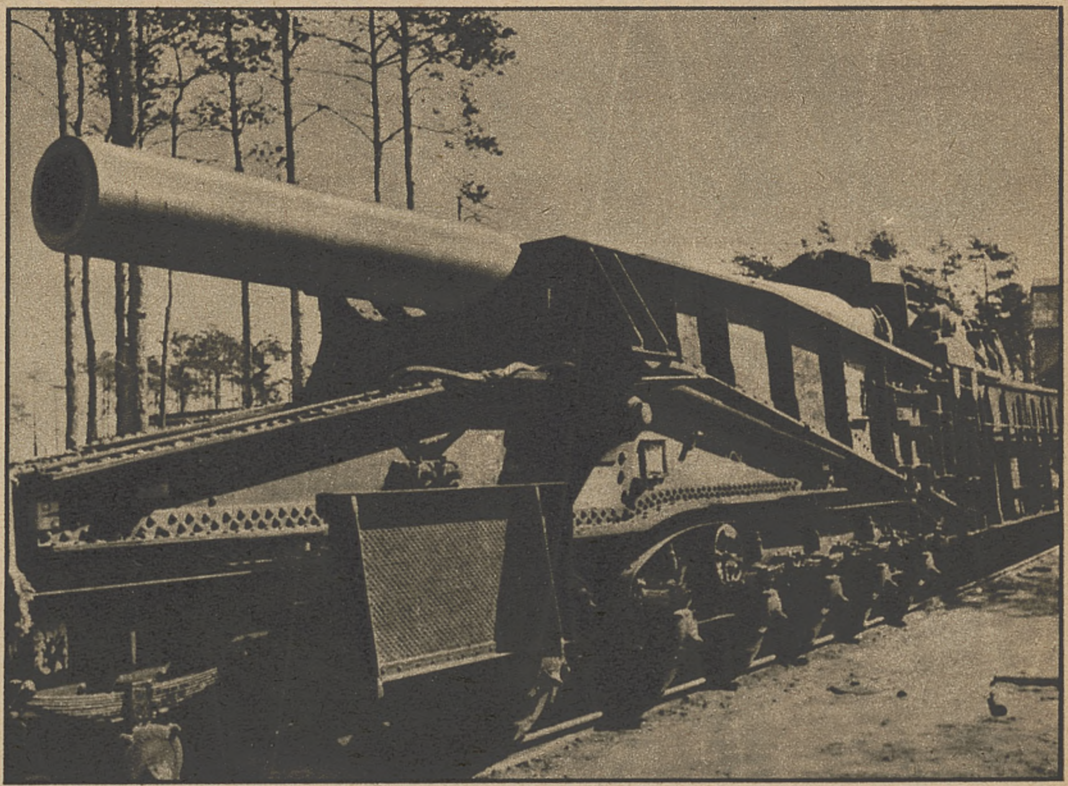


— A kiedy się spotkamy?

Fot. Eurofot

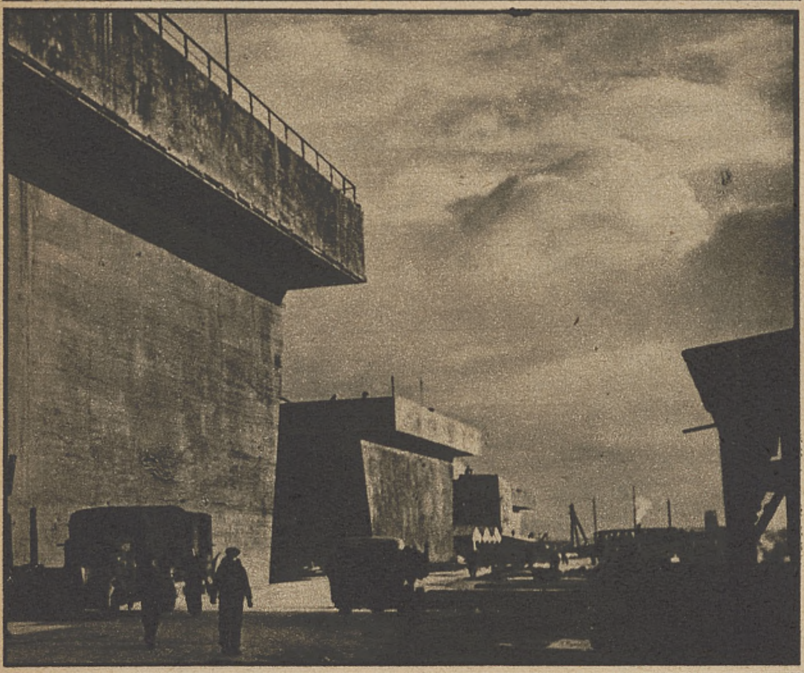
NA WYBRZEŻACH KANAŁU





Na lewo:
Anglicy i Amerykanie usiłowali na spadochronach spuszczać amunicję dla lądujących oddziałów na wybrzeżu Normandii. Na zdjęciu widzimy żołnierzy niemieckich oglądających zawartość takiego spadochronu.

Powyżej:
Jedno z niemieckich dział ruchomych, rozstawionych wzdłuż całego wału Atlantyckiego. Choć dobrze strzeżone są przed okiem nieprzyjaciela mogą być w każdej chwili odtransportowane tam, gdzie są najbardziej potrzebne.

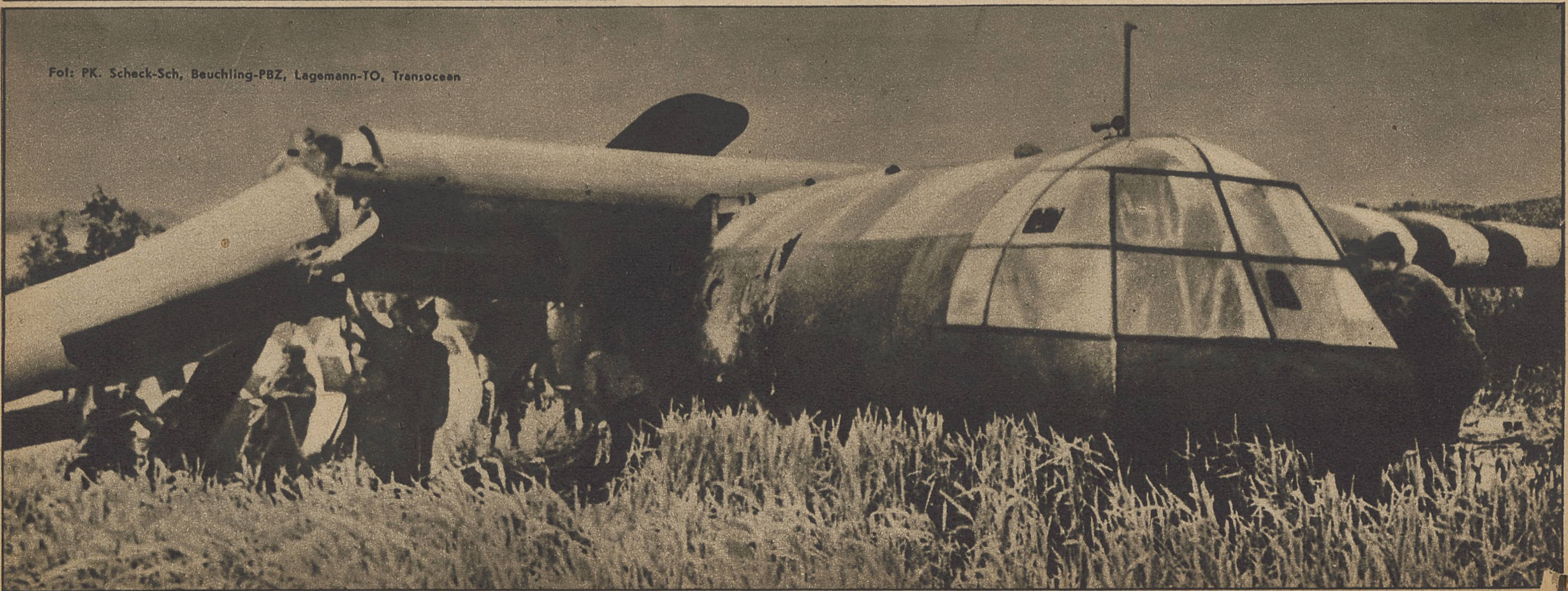




Na lewo:
Miasto bunkrów na wybrzeżu Atlantyku. Między poszczególnymi bunkrami prowadzą tory kolejowe dla przewożenia amunicji.

Powyżej:
Niemieccy artylerzyści przy zwózce granatów do dział.

Jeden z zestrzelonych angielsko-amerykańskich transportowców powietrznych służący do przewożenia żołnierzy i amunicji na wybrzeżu Normandii.



Fot: PK. Scheck-Sch, Beuchling-PBZ, Lagemann-TO, Transocean

NA FRONCIE WŁOSKIM





Na lewo:
Na skrzyżowaniu dróg ustawiono niemieckie armaty, celem ostrzeliwania atakujących brytyjskich i amerykańskich czołgów.

Powyżej:
W czasie bitwy wciąż ulegają zniszczeniu połączenia telefoniczne. Niemieccy żołnierze zmuszeni są bez przerwy do ich naprawiania.



NA WSCHODZIE



Węgierski żołnierz na posterunku, pilnujący ważnego mostu. Przed nim stoi mała armatka z minami.



Powyżej:
Patrol niemieckich spadochroniarzy przechodzi przez wąwóz, celem wybadania terenu przed posuwaniem się wojsk naprzód.

Na prawo:

„BIAŁA PANI" ZE SALONIK

Przy robotach ziemnych w Salonikach znaleźli niemieccy żołnierze starą statuę o wielkiej wartości artystycznej. Przeszło 1500 lat była ta marmurowa kobieta pogrzebana w ziemi. Obecnie umieszczono ją w Panteonie miasta. Niewiadomo jeszcze, czy figura ta jest portretem dostojnej Greczynki, czy też cesarzowej rzymskiej; jedno jest pewne, że pochodzi z czasów cesarza Galeriusa (305—311).

Fot: PK. Funke-TO, Wurm, Groh, Zscheile-Atl, Vallingojer-PBZ

GONITWA O NAGRODĘ





Na lewo:
NA TRYBUNIE
Nie tylko panowie „studiują" kwalifikacje dereszów i plan biegów. Płeć piękna z niemniejszym zainteresowaniem zagłębia się w tajnie regulaminu wyścigów. Może... by dać się tym lepiej obserwować w najnowszych kreacjach mody?...



Na lewo:
TO CHYBA 30 LAT TEMU!
Ani się śni... Dama na zdjęciu reprezentuje elegancką Paryżankę według kanonów mody 1944 roku! No dobrze, ale ten kapelusz i kołnierz futrzany? Właśnie! Kapelusz i kolosalny lis, to „dernier cri" bieżącego sezonu. Vraiment!

Na prawo:
BEZ KAPELUSZA TEŻ MODNIE!
Fantazyjne „kepi" z lirowatym ozdobnym piórkiem z boku, jakże niespokojnie odbija od uloczkowanej tylko główki drugiej damy, nie kochającej się widocznie zbytnio w „poematach" ze słomki, rafii czy Bóg wie z czego...



Poniżej:
UWAGA! CO KAPELUSZ — TO CUDO!
Pokup kapeluszy był fantastyczny! Widać go wszak z daleka i tyle uroku dodaje twarzyczce... O kosztach któżby zaś mówił?!





Powyżej:
SPÓJRZMY NA TOR WYŚCIGOWY
Dano sygnał. Wystartowały konie. Bielą się sylwetki dżokejów w wyścigu o palmę pierwszeństwa. Żądny emocyj tłum oblicza szanse zwycięstwa faworytów. Do mety jeszcze daleko...



Na prawo:
WSZYSTKIE MODNE, WSZYSTKIE NOSZONE!
Extrawagancja — oto najpierwsze wrażenie z widoku tych najnowszych fasonów. Wysoko udrapowane, to znowu płaskie, skromne i przeładowane kokardami, piórkami i siateczkowymi wstążkami — zadowalają indywidualne upodobania.

Wyścigi konne mają przede wszystkim znaczenie gospodarcze. I słusznie! Bo w istocie nie są niczym innym jak popisem hodowców koni. Setki zainteresowanych zbiera się koło toru wyścigowego; panowie i panie, a te ostatnie nie byłyby chyba kobietami, gdyby nie umiały połączyć prozy z poezją i obok konkursu koni nie wprowadziły także tak całkiem dla siebie, konkursu mody. Dobry smak i dar wyszukiwania ciągle czegoś nowego pozwalają wyczarować coraz to inne kreacje. Jeśli nie są to suknie, są to kapelusze, nad którymi pracuje fantazja modystki. Do tego jeszcze trochę szyku, trochę gracji w postawie i ruchach i można z całą pewnością siebie, iść w zawody. Nie ma tu oficjalnych nagród, żaden totalizator nie podaje jakie są widoki na konkurs, albo kto będzie zwycięzcą, ale każda z pań, jest uczestniczką konkursu i zarazem sędzią konkursowym, który ostro sądzi i w końcu z zadowoleniem stwierdza, że nie należy mu się ostatnie miejsce. I tak jest dobrze i zupełnie sprawiedliwie, bo kobieta która chce być piękną, wygląda już poważnie. Wielka różnica między obydwoma konkursami polega na tym, że na torze wyścigowym, jest tylko jeden zwycięzca, ale z tej strony bariery jest zwycięzców wiele. I w końcu tak być powinno.

Na prawo:
FREKWENCJA WSPANIAŁA
Liczebność widzów przeszła i tym razem wszelkie oczekiwania. Ani jednego wolnego miejsca, wszystkie trybuny wysprzedane od dawna! Ba! Bo któż nie chciałby widzieć i pięknych pań, i mód, i wyścigów?

Fot: Eurofot





Na lewo:
„SAVEZ-VOUS! C'EST BIEN!"
Czyżby te modnie ubrane panie omawiały imprezę? Prawdopodobniej plotkują na temat mody — nie byłyby bowiem chyba kobietami!

Na prawo:
TRZEBA UMIEĆ WYGLĄDAĆ SZYKOWNIE
Dawno powiedziano, że dla Paryżanki nie jest ważnym co nosi, ale jak nosi. Prawda. Mają one wrodzoną elegancję i dobry smak — a oto i wszystko, cała tajemnica ich szyku.



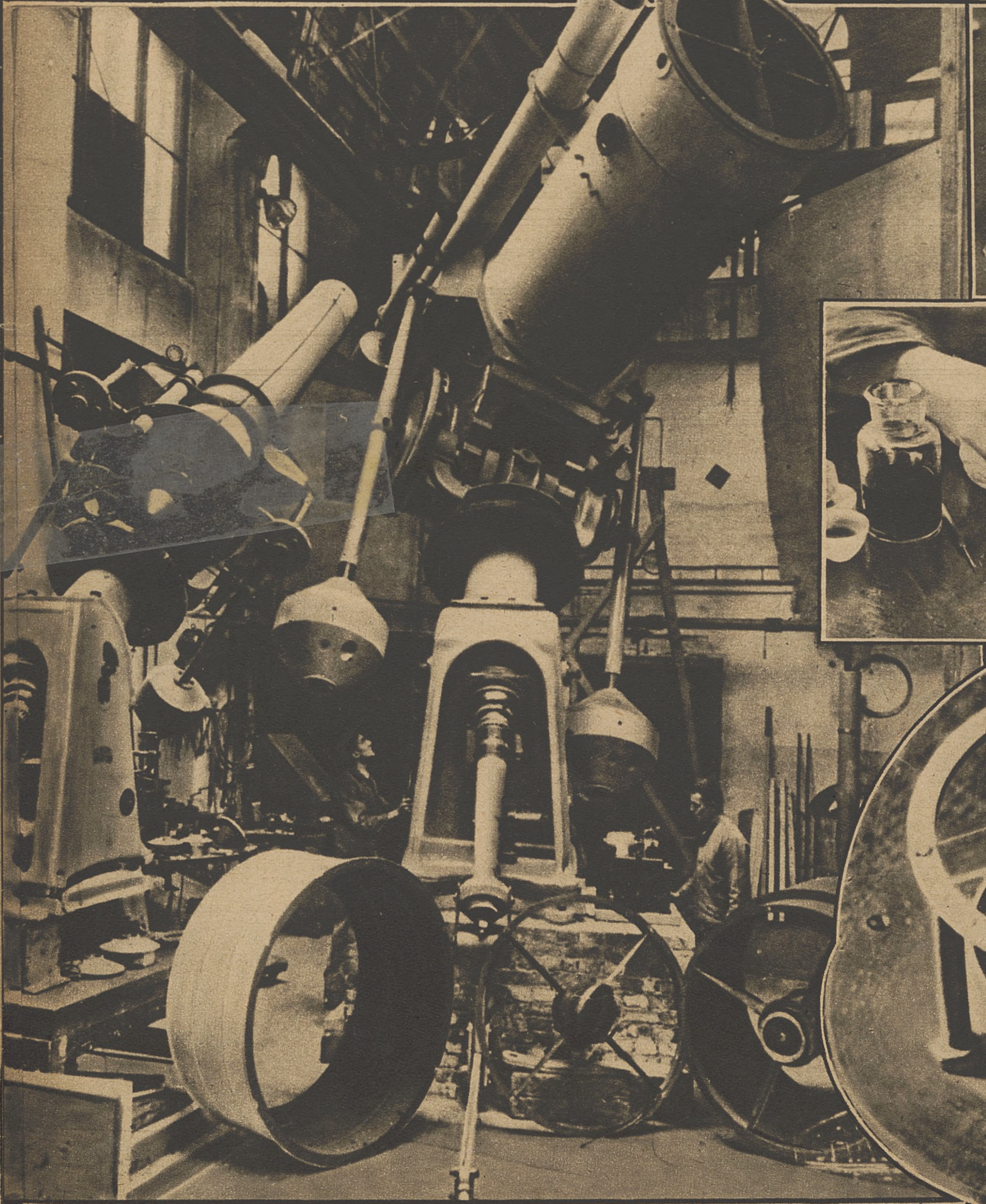
Pajęczyna a TELESKOP



Nowoczesna wiedza stworzyła precyzyjne przyrządy optyczne do badania mikroorganizmów a także i do oglądania i wyszukiwania w przestworzach olbrzymich planet, kilkaset tysięcy razy większych od ziemi, ale też odległych od nas o setki tysięcy lat świetlnych. Te olbrzymie teleskopy, zaopatrzone w cały system soczewek sporządzanych pracą całych lat, nie miałyby praktycznego zastosowania, gdyby nie... pajęczyna. Nitki pajęczyny umożliwiają dopiero astronomom przeprowadzenie z całą dokładnością ich drobiazgowych obliczeń.

Wszyscy wiemy dobrze, że południe jest wtedy, gdy słońce znajduje się prostopadle nad nami, a więc gdy rzuca najkrótszy cień. Ten sposób oznaczania czasu jest jeszcze niezbyt dokładny dla astronoma. Astronom chętniej oznacza czas przy pomocy wybranej przez siebie gwiazdy. Podczas obserwacji gwiazda musi się znajdować w samym środku soczewki. Wyznaczenie dokładnego środka soczewki ułatwiają skrzyżowane przed soczewką nitki pajęcze, a można by zaryzykować twierdzenie, że nawet je jedynie umożliwiają.

Ale dlaczego koniecznie musi być pajęczyna? Ot po prostu dlatego, że człowiek pomimo tylu znakomitych wynalazków z zakresu maszyn, przyrządów, surowców, nie zdołał jeszcze stworzyć takiej maszyny, która by mogła sporządzić tak delikatną i o równomiernej „cienkości" nić, a jednocześnie elastyczną i mocną jak nić pajęcza. Pod tym względem, jak również jeszcze w wielu innych wypadkach, robaczek okazuje się lepszym mistrzem od najlepszej maszyny i najzręczniejszej ręki.

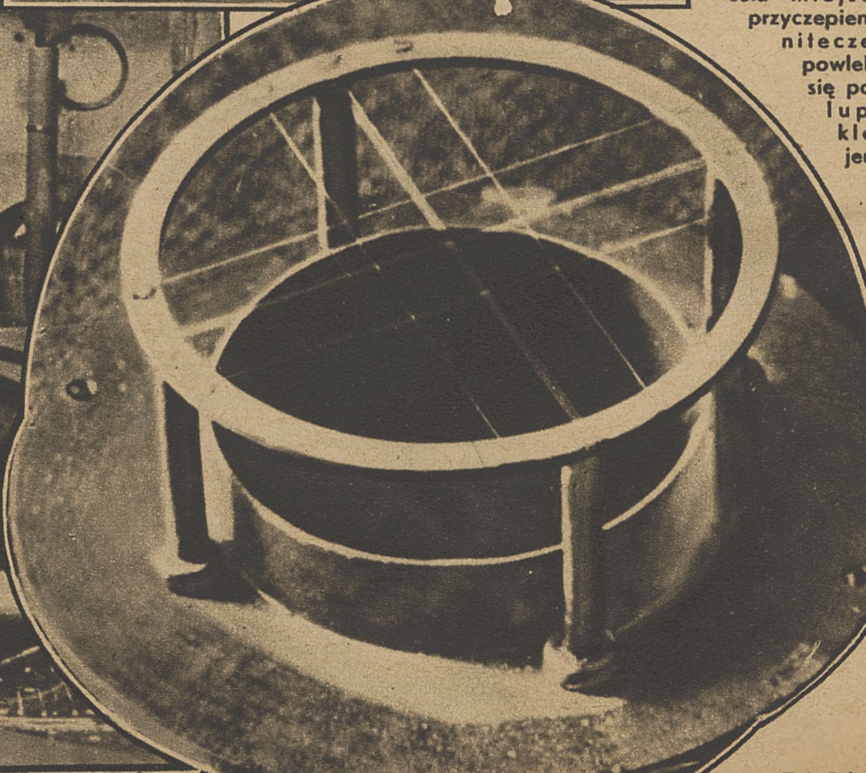






Powyżej:
Z tego kłębka pajęczyny wysnuwa się za pomocą pincetki pojedynczą nitkę pajęczyny, która ma służyć do tak precyzyjnego przyrządu, jak teleskop.

Na lewo:
Niteczki pajęczyny przymocowuje się skrzyżowane do pierścienia pomiarowego. W tym celu miejsce przyczepienia niteczek powleka się pod lupą klejem.



Czy uwierzycie, że najważniejszą częścią olbrzymiego teleskopu, zestawianego tutaj w fabryce przyrządów optycznych, jest kilka na krzyż ułożonych włókienek pajęczych? Pan stworzenia nie doszedł jeszcze do tej zręczności co marny robak, deptany przez niego.

Fot. Scherl

AWANS PANA SKOWRONKA

PIOTR KORWIN

Dokończenie

— Ot przypomniało mi się coś bardzo zabawnego, o czym panu później opowiem. W każdym razie widzę, że miałam rację. Popsułam panu wieczór i może ktoś będzie się gniewał.

— E nie, nie sądzę — rzekł jakoś niepewnie pan Stanisław i zdusił nadludzkim wysiłkiem pokusę by nie spojrzeć na zegarek.

— No, no — pogroziła mu palcem — będzie pan jeszcze żałował...

— Na pewno nie — odparł żywo pan Stanisław. — Nie ma takiej rzeczy z której bym dzisiaj nie zrezygnował...

— O! — przerwała patrząc mu z uśmiechem w oczy. — Ostrożnie, bo gotowam to wziąć poważnie.

— Może to wydawać się dziwne — ciągnął dalej Staś — ja jednak wierzę, że często dziwny splot okoliczności, po prostu przypadek o wszystkim decyduje i gotuje nam niespodziankę...

— Niespodzianki bywają różne — zauważyła.

— Mam na myśli miłą niespodziankę, jaką jest dla mnie nasza znajomość.

— Zatem przygoda, którą mężczyźni tak lubią...

— O, nie! Przygoda to coś co zbyt szybko mija. Ja zaś, szczerze mówiąc nie chciałbym by nasza znajomość skończyła się na dzisiejszym wieczorze... O ile naturalnie pani pozwoli...

— Szczerość, bardzo ładna ale rzadka zaleta — rzekła z uśmiechem. — Sądzę jednak, że nie jest z nią tak wszystko w porządku u pana jak pan mówi... a bez niej nie ma zadatku na dalszą znajomość.

— Czy pani mi nie wierzy? Przecież nie miałbym powodu... — Przerwał widząc, że pani patrzy w stronę orkiestry, która właśnie zaczęła jakiegoś slow-foxa.

— Zatańczymy? — spytał.

— Dobrze ale niech mówi dalej — rzekła — bardzo ciekawam...

Z trudnością przecisnęli się między stolikami i szybko weszli na parkiet na którym już kilka par, korzystając z chwilowo wolnej przestrzeni, wykonywało jakieś zawiłe ewolucje.

Staś delikatnie otoczył ramieniem partnerkę, zdążył jeszcze przed najbliższym lustrem stwierdzić, że wcale ładną tworzą parę i już miał nawiązać do poprzedniej rozmowy, gdy ogarnęły go jakieś niedobre przeczucia. Spojrzał na białą, przytuloną do jego ramienia twarzyczkę, ujętą w ciemną ramę falistych włosów, których figlarny lok muskał go co chwilę po twarzy i jakoś nie mógł zdobyć się nawet na błahy frazes.

— A gdyby jej tak powiedzieć — myślał — że nie jest żadnym potentatem, lecz zwykłym urzędnikiem.

— A samochód? — jakiś głos jak żmija syknął mu nad uchem. — Wyjdziesz na kłamcę i hochsztaplera — krew uderzyła mu do głowy.

— Nie dokończyliśmy poprzedniej rozmowy — rzekła obserwując go ukradkiem. — Na czym pan to przerwał?... Acha, już wiem. „Że nie miałby pan powodu mówić nieprawdę"... No, słucham dalej. Oj, coś panu idzie niesporo, a przyrzekł pan być szczery...

— To długa historia — wyjąkał Staś, czując dziwny zamęt w głowie. — Chciałbym powiedzieć wszystko... i prosić zarazem, ale nie wiem od czego zacząć...

— A więc odważnie, nie będę bardzo się gniewała — przylgnęła silniej policzkiem do twarzy pana Stanisława.

— O pardon — jakiś mężczyzna z wysoką rudowłosą damą koło nich przepychał się na już i tak przepełniony parkiet. Pani popatrzyła w tę stronę, drgnęła i jakby obawiała się być poznana szybko odwróciła głowę.

— Proszę pana — rzekła, nagle się zatrzymując — pan chyba nie weźmie mi za złe, że pójdę teraz zatelefonować. Muszę się dowiedzieć czy przyjaciółka nie czeka na mnie w domu...

— Jakto? — zaniepokoił się Staś. — Przecież dzisiaj mieliśmy...

— Dobrze... dobrze, ale muszę przecież dać znać, że później wrócę. — Pociągnęła go za rękę ku loży. — Niech pan chwileczkę zaczeka — okazywała lekkie zdenerwowanie.

— Proszę panią, co się stało?

— Wszystko wyjaśnię — zawołała i pobiegła ku wyjściu.

— Co to ma wszystko znaczyć? Wygląda jakby kogoś przestraszyła — ruszył ramionami. — E, może mi się tylko tak wydaje — pomyślał, rozglądając się po sali, gdy czyjaś ręka spoczęła mu na ramieniu i zabrzmiał dobrze znany głos:

— Cho, cho... widzę, że nasz Skowroneczek zrezygnował już z zagranicy, kiedy tutaj się zabawia i to nie z bylejaką kuropatwą. — Przed zdumionym panem Stanisławem stanął pan Migawka, ale jakiś elegantszy niż zwykle, ożywiony i z lekka zalatujący alkoholem.

— Ot, przyszedłem trochę potańczyć ze znajomą — rzekł zimno Staś.

— No, no — mrugnął znacząco pan Migawka — nigdy nie wiadomo jakimi drogami nasz Skowronek chadza — roześmiał się rubasznie. — Ale i ja nie próżnuję. Patrz pan na tę kobietę — wskazał siedzącą opodal rudą tancerkę, rzucającą teraz w ich stronę omdlewające spojrzenia. — A, żeby pan wiedział jak tańczy, fiu, fiu... Można usiąść, prawda? — spytał i nie pozwalając przyjść do głosu oszołomionemu Skowronkowi, rozsiadł się na kanapce. — Powiedzcie kolego — ciągnął dalej udając, że nie spostrzega niezadowolenia pana Stanisława — jak poznaliście waszą danserkę? Ho, ho, cwaniak z pana...

— O, ja bardzo dawno znam tę panią — skłamał pan Skowronek — Właśnie dzisiaj przyjechała ze Lwowa..

— Ze Lwowa? — powtórzył jak echo pan Migawka i ryknął krótkim przerywanym śmiechem.

— Panie prokurencie! Wolne żarty — oburzył się Staś — ta pani jest z towarzystwa i nie pozwolę...

— Dobrze, już dobrze — rzekł pojednawczo pan Migawka — panu wiadomo, że to Lwowianka, a nam się wydaje, że nie, bo i Kazek z Czesławem tutaj przyszli i obserwują was cały wieczór. Może pójdziemy do nich — spytał — i tak jeszcze nie widać pana znajomej — dodał akcentując ostatni wyraz.

Staś rzucił okiem ku drzwiom, przeklął w duchu niespodziewane spotkanie i chcąc jak najprędzej pozbyć się natręta, ruszył w stronę baru poprzedzany przez pana Migawkę, który dopadłszy obydwu młodzieńców coś szybko z nimi poszeptał.

— A... Staszek, jak się masz — zawołał Kazek, kolega szkolny Stasia i towarzysz niejednej zabawy.

— Widzieliśmy i gratulujemy — rzekł Czesław, stateczny blondyn, prokurent poważnego przedsiębiorstwa — choć nie zwracałeś na nic uwagi, wpatrzony...

— Tak, wpatrzony — przerwał śmiejąc się Kazek — w swój nowy „ideał". Oj, Stasiu, coś mi wyglądasz na desperata, a raczej na zakochanego. Nie szkoda takiej mądrej głowy wkładać w małżeński kaganiec — spytał z żałosną miną. — A przypuszczam, że nic już cię nie zdoła odwieźć od tego zamiaru.

— Pewno, że nie — zarechotał pan Migawka. — Ja sam, gdybym panie dobrodzieju był wolny...

— Doskonałe, patrzcie jaki Adonis z Migawki — śmiał się Kazek. — Panie — ryknął do barmena — cztery głębsze wyborowe!

— Dajcie spokój panowie — usiłował wykręcić się Staś — wiecie, że jestem w towarzystwie i nie mogę przecież...

— O, to nic nie szkodzi, siadaj tutaj — Czesław podsunął stołeczek — stąd dobrze będziesz widział jak twoja pani wróci, a tymczasem — tu chwycił za kieliszek — zdrowie młodej pary!

Potem wypili zdrowie obecnych, następnie nieobecnych... póki najbardziej podchmielony pan Migawka nie zauważył, że warto by potańczyć tymbardziej, że w tym lokalu są tak piękne damy...

Staś, mimo że już miał potężnie „w głowie", uprzytomnił sobie szybko, że stało się chyba coś złego, kiedy znajoma do tej chwili nie powróciła. Zerkał przecie ustawicznie w stronę loży... Czyżby poszła do domu — pomyślał zaniepokojony. Pobiegł do garderoby...

— Panie — rzekł, chwytając za rękaw portjera — czy ta pani, która ze mną przyszła, szatynka w lisie...

Portier ruszył ramionami. — Może i poszła — zauważył sceptycznie — ale ja pełnię służbę dopiero od pół godziny...

Staś stał przez chwilę bezradny, nagle tknięty jakimś dziwnym przeczuciem, wybiegł na ulicę. Przed lokalem stało kilka taksówek, lecz dyrektorskiej okazałej limuzyny ani śladu...

Świat zawirował mu przed oczyma.

— Gdzie moje auto! — zawył.

— Służę panu dziedzicowi — dorożkarz otworzył uprzejmie drzwiczki jakiegoś gruchota.

Pan Stanisław zdawał się nic nie słyszeć, przeciągnął ręką po czole okrytym zimnym potem. — Moje auto... Moje auto... — jęczał. — I to zrobiła ona. — Tu nagle chwyciła go szewska pasja. — Nabrała mnie, ja jej pokażę... tej złodziejce! — Jak szalony wpadł do garderoby:

— Proszę połączyć mnie z policją — ryczał — skradziono mi samochód!

— Zaraz, zaraz mój panie — przybiegł dyrektor sali — w naszym lokalu nic zginąć nie może — uśmiechnął się znacząco. — O, jest pana znajomy, to wszystko wyjaśnimy — wskazał pana Migawkę, który niezbyt pewnie trzymając się na nogach, już rozpoczął poszukiwania za Stasiem.

— Gdzieżeś to Stasiu się zapodział... a, widzisz... turkaweczka uciekła — chwycił go pod ramię... — czekamy wszyscy na ciebie...

— Pańskiemu koledze auto ukradli — rzekł z uśmiechem dyrektor.

— Co?... Auto?... Pyszny kawał — zanosił się od śmiechu pan Migawka.

— Skowronek i auto... Stasiu! nie kompromituj się i przyznaj, że twojej babce i to nie tutaj a w Madrycie zginął samochód.

— Czy pan zwariował do stu tysięcy — zaklął Staś, usiłując uwolnić się od natręta. Ale prawie w tej chwili weszli Czesław z Kazkiem i mrugnąwszy na siebie, przemocą wprowadzili Stasia do baru.

— Napij się, to ci przejdzie — rzekł Czesław, dając mu do ręki kieliszek imponujących rozmiarów. — No pij, mówię... bo inaczej nie pomożemy ci odszukać samochodu i... danserki — uśmiechnął się do kolegów.

Pan Stanisław już całkiem zgnębiony, wypił kilka „głębszych". Najpierw rozpłakał się jak dziecko, poczym wpadł w szampański humor:

— Co mi tam samochód... ożenię się dobrze, to mogę mieć i dwa...

— Pewnie — rzekł z przekonaniem pan Migawka i rozczulił się na myśl, że jemu w życiu już ta nadzieja odpada ponieważ jest żonaty. — Daj pyska Skowronek — chwycił Stasia za szyję — myślałem żeś mój wróg, a widzę, że z ciebie kochany chłopak...

Było już dobrze po północy, gdy postanowili wrócić do domu, bo przecież nazajutrz czeka ich „dom udręki"... biuro.

Staś z wielką trudnością wdrapał się do siebie na trzecie piętro i nie zdejmując płaszcza runął na łóżko. Złe sny stanowczo trapiły go tej nocy. To kwilił jak niemowlę, to znowu komuś groził i klął na potęgę. Chwilami zdawało mu się, że leży na jezdni, a na niego wprost jedzie auto dyrektora. Chce krzyczeć i nie może, już koła czuje na piersiach, gdy wtem... słyszy znajomy głosik:

— Niech się pan przyzna bo będzie źle... — i widzi swoją znajomą ale nie samą. Stoi oto pod rękę z dyrektorem Grosikiem i śmieją się z niego serdecznie. Chce uciec, schować się pod ziemię, gdy przyjmuje go pan Migawka: Ty głupi, ty nie wiesz kto ta kobieta — krzyczy — to przecie...

Przeraźliwy terkot budzika przyprowadził do rzeczywistości umęczonego pana Stanisława.

— Siódma — spojrzał tępym wzrokiem na zegar — trzeba wstawać do „budy". Nagle przypomniał sobie wczorajszą przygodę i głucho jęknął.

— A może mi się to wszystko śniło — pocieszał się w duchu.

— Ale gdzietam, leży przecie kompletnie ubrany... Zerwał się z łóżka.

— Pewno zaraz przyjdzie policja — myślał gorączkowo. — Trzeba wpierw choć usprawiedliwić się przed dyrektorem...

Porwał kapelusz i pobiegł do biura, po drodze roztrącając przechodniów.

Wąsaty woźny aż usta otworzył zoczywszy o tak wczesnej godzinie pana Skowronka: — Odmieniło go co, czy ki diabli — mruknął.

W biurze jeszcze nie było nikogo. Pan Stanisław usiadł za swoim biurkiem, wpił palce w rozburzoną fryzurę i tak trwał bez ruchu, czekając na dyrektora. Powoli zapanował codzienny gwar, tylko pan Skowronek zdawał się nic nie słyszeć. Pan Migawka, przypominający dzisiaj trochę nieboszczyka, zbliżył się do Stasia:

— Główeczka nie w porządku, co? Ale to nic w porównaniu z tym co miałem w domu... — szepnął tajemniczo i wskazał wcale okazały siniec na lewym policzku. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale widząc, że pan Stanisław siedzi jak skamieniały, ruszył ramionami i poszedł do swojej pracy.

Wreszcie koło dziesiątej otwarły się drzwi dyrekcji i stanął w nich w całej swej korpuletnej okazałości pan Grosik:

— Panie Skowronek — zawołał, szukając go oczyma...

Staś podskoczył jak rażony prądem elektrycznym i już był w gabinecie szefa:

— Panie dyrektorze, ja muszę coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie... — zaczął błagalnie.

— E, znowu mi się pan wykręca — machnął niecierpliwie ręką pan Grosik — a nie zawsze mam dla pana tak miłe jak wczoraj zajęcie...

Staś czuł, że robi mu się słabo:

— Jakto?! To pan dyrektor nic nie wie...

— Ależ wiem, wiem, mówiła mi żona, żeście po teatrze, gdzieś tam byli autem na spacerze. Tylko niech jej pan już nigdy nie pozwala prowadzić samochodu. Prosiłem przecież... No ale z tymi papierami musi pan jednak pójść dzisiaj do banku — tu spojrzał z humorem na wystraszonego młodzieńca — bo obejmie pan funkcje dotychczasowego kierownika biura, który pójdzie na inne stanowisko.

— Panie dyrektorze...!

— No, no, pan chyba wie najlepiej, komu zato należy dziękować — roześmiał się dobrodusznie.



MARZENIE

Spłynę ku tobie westchnieniem, marzącej gwiezdnej
|nocy,
i śpiewną modlitwą lasu, spocznę w przebłyskach twych
|źrenic,

i ciszą cię upoję, kroplami srebrnej rosy
ugaszę twe pragnienie, i ogrom twych tajemnic.

A gdy zanurzysz dłonie w krysztale wód przeźroczych,
jedwabna pajęczyna spowije rytmem serce,
i przyjdzie taka chwila, że tylko śpiew słowiczy
zakwitnie wśród leszczyny — w zieleni i błękicie.

I będziesz marzyć o szczęściu, co w mgłach porannych
|tonie,
o bajce kolorowej w młodości dniach wyśnionej,
może o królewiczu... o szczero złotej koronie,
a może...
czar nocy więdnie, ja jestem tylko prochem.

Michał Wojciech Nalepka

W MALIGNIE

Gorejący nieboskłon, a w nim słońc miliony,
pulsujący żar kręgów wśród dymu obłoków.
Potem ćmy aksamitnej przepastne ogromy,
a w nich potwór dyszący, gotowy do skoku.
Ponad wszystko się wspina rtęciowy obelisk
srebrno-drżącym sztyletem rozcina przestrzenie,
wreszcie racą fioletu pod niebo wystrzeli;
z deszczu iskier się rodzi w żyłach nurt z płomieni
i upiorne postacie z groteski Allana.

Czyjeś ręce na czole z pieszczotą się kładą
i z chaosu wypływa Twój uśmiech: — Kochana!

Witold Horodyński

POGODNY DZIEŃ

Pogodny, jasny dzień
i lekki, ranny chłód.
Jest dobrze i wesoło.
Idę — zdobywać świat.
Mam odnieść jakieś listy,
zapłacić gdzieś rachunek,
zrealizować w banku
czek.
Dobrze jest o poranku
iść sobie chodnikami,
stukając drewniakami
w świat.

Nowakówna Alina



ROZMAITOŚCI

CZY WIECIE, ŻE . . .

uszy człowieka mogą róść do 80-roku życia i dlatego niektórzy ludzie mają takie duże uszy.

. . . w Birmie jest prawie niemożliwością, odróżnić kobiety od mężczyzn. Mają tak samo długie włosy kobiety jak i mężczyźni, noszą jednakowe ubrania, palą papierosy, a czasami nawet wykonują najcięższe prace, które do kobiet nie należą.

BURZE

Wnioskując z obliczeń meteorologicznych przechodzi około 40.000 burz dziennie na kuli ziemskiej. Są to tylko burze atmosferyczne.

Ileż by ich też było, gdyby dodać do tego burze polityczne, interesowe a cóż dopiero małżeńskie.

„WIECZNE PIÓRO"

W 1544 roku wynaleziono w Norymberdze pierwsze pióra z żelaza, miedzi i mosiądzu, które potem rozpowszechniły się na całym świecie.

Pióra pod nazwą „wiecznych" wynalazł w 200 lat później w 1783 roku mechanik Scheller z Lipska.

NAPIĘCIE 3.000 WOLT W SPINCE OD KOŁNIERZYKA

ZADZIWIAJĄCE URATOWANIE ŻYCIA

Inżynier Holmgern, dyrektor jednej z największych fabryk w Osterfund (Płn. Szwecja) wyszedł jak zwykle na halę dynamomaszyn, aby skontrolować pracę robotników. Była to godzina, w której według jego wskazówek miała nastąpić zamiana oliwy w głównym transformatorze, i prąd elektryczny musiał być wyłączony. W czasie rozmowy z robotnikami oparł inżynier rękę na walcu miedzianym, co jednak nie byłoby niebezpiecznym, gdyby nie umieszczenie jednego dynama pomocniczego. Siła prądu została natychmiast zwiększona do napięcia 3.000 wolt.

Jeden z robotników nadaremnie usiłował przeszkodzić w poruszeniu ręki dyrektora i ów właśnie został pchnięty tak silnie, że rzuciło go od razu na podłogę. Obecni przy tym robotnicy podnieśli go szybko i przenieśli do pokoju leczniczego w fabryce, gdzie przy starannym i troskliwym leczeniu powrócił do zdrowia.

Przy badaniu stwierdzono, że tylko cudem prąd elektryczny skoncentrował się i wyładował w metalowym guziku przy koszuli, który oczywiście z natężenia został zmiażdżony na masę maślaną. Bez tego bezpiecznika zostałby inżynier na pewno zabity.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

»TANAKO« (KWIAT WIŚNI)

Pod dobroczynną opieką porośniętej kwitnącymi krzewami ostrej krawędzi potężnej góry, przytulony nieomal do niej, jak dziecię do matki stał mały domek japoński — w ciszy i odosobnieniu.

Małe okienka wdzięczyły się radośnie do słońca, setki paciorków nanizane na sznury jedwabne zastępujące drzwi — chwiały się przy silniejszych podmuchach wiatru.

Domek otaczał gąszcz kwitnącego sadu wiśniowego.

Delikatne pastelowe odcienie, harmonia barw i powódź różowych płatków dookoła.

Kwiat wiśni — narodowy kwiat japoński, urok i sentyment Dalekiego Wschodu, mieszkańców Państwa Wschodzącego Słońca.

Usunęły się na bok sznury paciorków zagarnięte łagodną rączką pani maleńkiego domku.

We framudze wejścia stanęła ona — Tanako.

Była niby porcelanowa laleczka, krucha i maleńka.

Uśmiechnięta i świeża rzuciła tęsknym okiem w kierunku drogi prowadzącej do miasta.

A kiedy Sakya-Muni przestąpi granicę jej panowania, gdy znajdzie się w obrębie wiśniowego gaju — jaką odpowiedź ma dać mu jego uwielbiana, kwiat jego marzeń — Tanako?

Czy odrzuci go, czy też padnie mu w ramiona, drżąca z radości i szczęścia.

Przecież sama kazała mu zjawić się dzisiejszego ranka po odpowiedź. Wspomniała nauki ojca, matki, tradycję kraju i święte przykazania narodu japońskiego.

Wiara w przeznaczenie.

Tak. Słusznie. Wiara w osiągnięcie tego, co jest każdemu przeznaczone — jest przyrodzona i właściwa każdemu członkowi wielkiej rasy japońskiej.

Stanie się, co się ma stać. Człowiek jednak, niezależnie od tego, co go z mocy przeznaczenia oczekuje — musi być mężny, musi być przygotowany do walki, musi sam kuć swoje szczęście, jak kowal przekuwa w pocie czoła swoje żelazo na niezbędny chleb codzienny.

Jeżeli natomiast starania ludzkie rozsypią się w proch, jak zeschła grudka ziemi, jeżeli człowiek nie potrafi osiągnąć swoich marzeń, jeżeli będzie tak daleki od swego ideału, jak w momencie narodzin dążenia do niego — znaczy tak być musiało, znaczy to, że granitowy wał wydarzeń życia stworzył dlań przeznaczenie inne i sarkać na to nie wolno.

Zamyśliła się na chwilę porcelanowa laleczka. Nagle błysk radości — myśl mocna, szczęśliwa. Zdecydowała się.

Powietrze przeciął wesoły trel piosenki. Sekunda jeszcze — laleczka znika, jak cień.

Obeschły już rosy poranne, a słońce w znoju i miłości świata uszło już spory szmat w swojej codziennej wędrówce — kiedy na drodze prowadzącej do domku ukazał się wędrowiec.

Szedł wolno, w skupieniu, odmierzał krok każdy uważnie, ale niepewnie.

W sercu młodzieńca była miłość, ale w duszy rozsiadł się zuchwale niepokój.

Był zdecydowany, ale niepewność trawiła jego umysł ,jak złośliwy czerw trawi pień młodego, zdrowego dębu. Rozpamiętywał wszystkie chwile swojej znajomości z umiłowaną dziewczyną, zastanawiał się nad poszczególnymi słowami z ich rozmów i — odwlekał jak najdłużej moment decydujący.

Serce rwało się, jak stęskniony ptak z klatki, ale nogi ociągliwie zbliżały go do wiśniowego gaju.

Kto wie? Kto potrafi odgadnąć duszę młodego dziewczęcia, kto nie zawiódł się w życiu i swego zmartwienia nie nosił w sobie przez długie, długie lata?...

Naprzeciw wyszła Tanako, spokojna, zamyślona. Wdzięczna jej figurka we wzorzystym stroju japońskim jaśniała różnobarwną plamą na tle rozwiniętych drzew sadu.

— Więc przyszedłeś Sakya-Muni. Wiarą naszego życia — jest przeznaczenie. Jak ono rozstrzygnie tak będzie, bo tak być musi. Tak nas uczyli ojcowie i tak jest najlepiej. Patrz — na maleńkiej ogrodowej laweczce postawiła trzymane dotąd trzy małe skrzyneczki — w każdej z tych trzech zamkniętych skrzyneczkach jest moja odpowiedź. Jeżeli otrzymasz słowo „nie" — bądź dzielny. Znaczyć to będzie, że nie jestem dla ciebie, że los nieubłagany nie zgadza się na to. Odejdź w spokoju, nie sarkaj, nie narzekaj. Niech oczy twoje zatopią się w księgach, zbieraj skrzętnie, jak pszczółka, miód mądrości z zadrukowanych kart papieru, hartuj duszę i umysł, bądź dobry dla ludzi, braci swoich i niech serce twoje będzie pełne miłości dla kraju, który potrzebuje ofiary twojej i pracy.

Jeżeli wybierzesz słowo „może", — znaczy to, że nie nadeszła jeszcze chwila naszego wspólnego życia. Pójdź wtedy w zgiełk miast wielkich, pójdź między ludzi, kształć i pogłębiaj rozum twój. Czekaj i miej nadzieję. Kiedy czas będzie właściwy — będziesz wiedział o tym. Otrzymasz znak.

Jeżeli zaś znajdziesz karteczkę z napisem „tak" — wtedy o Sakya-Muni — niech radość przepełni serce twoje, wesel się, zanieś modły do Najwyższej Istoty na świecie; rozpromień się i złóż korną podziękę naszej świętej, czczonej przez wszystkich — górze Fudżi-Jama. Wtedy — jam twoja. Twoja — na wieki.

Wybieraj Sakya-Muni i niech los najmądrzej pokieruje tobą. Spotkamy się o zachodzie słońca.

Odeszła.

Młodzieniec został sam.

Ręka jego już kilkakrotnie wyciągała się w kierunku skrzyneczek i jakaś moc powstrzymywała ją w połowie drogi. — Przyszło wreszcie opamiętanie.

Sakya-Muni był nie tylko, zakochanym pełnym radości życia młodzieńcem.

Był to również stanowczy, dzielny człowiek.

Chwila słabości przeszła.

Mężnym energicznym ruchem wyciągnął rękę, ujął pierwszą z brzegu skrzyneczkę i włożył ją do kieszeni i natychmiast opuścił z nią sad wiśniowy.

Na karcie życia młodzieńca przeznaczenie wypisało swój ciąg dalszy.

Zarumienione i spotniałe od gorąca słońce kończyło swoją pracę tego namiętnego, ważnego dnia.

Brzęczały owady w znoju późnego popołudnia, nawet ptaki pochowały się w cieniste gąszcza, uważając zapewne, że wszystkie obowiązkowe codzienne piosenki zostały już odśpiewane.

Gorący, szary proch rozwiewany przez wiatr osiadał na listkach, przegrzane powietrze atakowało każdą szczelinę, każdy zakamarek cienia ofiarnie, z oddaniem. Jedynie tylko salamandra zamknąwszy oczy poddawała się z lubością pieszczocie bezlitosnych promieni.

Również Sakya-Muni nie odczuwał gorąca.

Niczem były palące promienie wobec temperatury nurtującej środek wulkanu.

Najpiękniejsze tony świata śpiewały uwerturę jego serca.

Ona powiedziała — tak.

Nie zważał na nic. Droga była równa jak stół — on wybierał kamienie, krzaki rosły o 10 metrów w bok — on rozdarł ubranie na kolcach, które wprost napadły na niego; zabłąkany psiak przerażony szalonymi krokami pijanego radością młodzieńca ze skowytem uciekł pod most, podkuliwszy ogon pod siebie.

Jeszcze dwa kilometry, jeden — pół — już tylko 300 metrów.

Gaik wiśniowy wynurzył się zza pagórka, jak nieznana ziemia przed oczami stęknionego odkrywcy, w bramie z żywopłotu stała ona, cud cudów, sen, którego nawet wichry północne rozwiać nie są zdolne.

Laleczka wyciągnęła porcelanowe ramiona:
— Sakya-Muni tyś mój!!

— — — — — — — — —

Czternaście gwiazd w świetnej konstelacji zaświeciło pomimo jasnego dnia.

Gaj wiśniowy stał zadumany kiwając protekcyjnie kwitnącymi gałązkami.

Stara, jak świat, piękna, jak marzenie naiwnego dziecka, słodka jak najczystszy miód lipcowy — pieśń życia i miłości rozkołysała się w powietrzu.

— — — — — — — — —

I nie dowiedział się nigdy dzielny Sakya-Muni, że we wszystkich trzech skrzyneczkach było to samo.

St. Ostrowski



PODŁY CZYN DR ELSSONA

JERZY EGLICZ

Sala balowa jaśniała kaskadami perłowych blasków. W półcieniach fioletu i purpury gięły się rytmicznie przytulone pary. Wibrujące dźwięki muzyki, szepty zciszone, iskrzące się kryształy — przesycały tę atmosferę złudy nieuchwytnymi fluidami. Tylko w rogu sali, pod zwierciadlaną taflą stał wysoki, o nieregularnych rysach twarzy mężczyna, z przylepionym do bladych warg drwiącym grymasem, obserwując rozbawionych gości.

Właśnie przy jednym ze stolików usiadło nieliczne towarzystwo. Śliczna, pełna gracji, złotowłosa panna, barczysty, rosły, może trzydziestoletni mężczyzna oraz dwie starsze osoby.

— Oto masz najszczęśliwszą parę pod słońcem — zabrzmiał za tkwiącym pod lustrem gentlmanem miły, melodyjny głos — tęgi grubawy pan uśmiechał się dobrodusznie.

Źrenice zagadniętego pokryły się błyszczącym szkliwem.

— Tak! Ona ładna, nawet piękna! — wycedził spokojnie przez zęby, a sarkastyczny grymas nie ustępował z jego warg.

— Pozwól, przedstawię ci ich! Bardzo mili ludzie!

Podeszli do stolika.

— Docent psychiatrii, doktor Elson — prezentował tęgi jegomość.

Zimne oczy tamtego spoczęły ciężko na twarzy młodej kobiety. Drgnęła . . .

Kiedy po chwili płynęli w takt tanga, dr Elson nie przestawał uśmiechać się drwiąco.

— Pani ma usta podobne blaskom gwiazd szkarłatnych — szeptał namiętnym, niskim głosem.

— Ależ do mnie nie wolno tak mówić! — słowa grzęzły jej w gardle — ja przecież mam narzeczonego.

Cień pogardy zabłysnął w oczach doktora i tylko wpił je w nią głęboko, z upartym nakazem woli.

Ciało Elżbiety przebiegł dreszcz.

— Boże! jak on cudownie mówi — myślała — a mój narzeczony jest taki banalny, dobry, ale taki nieskomplikowany. I naraz poczuła w mózgu jakiś zawrot, zamęt, zdawało jej się, że od niego bije potężny prąd, który ją zmusza do zaniechania wszelkich innych pragnień, prócz poddania mu się zupełnie.

— Chciałbym panią wywieźć gdzieś stąd w odległe światy — tam, gdzie jedynie pachną herbaciane róże i gdzie na graniach turni grają zefiry swe tęskne melodie.

Oczy jego teraz zogromniały, stalowy ich przebłysk, zdruzgotał jej wolę, słaniała mu się w ramionach. A nad salą rozpięła swe welony fiołków i karminu melodia tanga, jarzyła się ślepiami diablemi kinkietów, czarowała zwiołami marzennych rozelśnień.

Po mózgu Elżbiety przewalały się roje myśli. Bo ten człowiek tańczy tak wspaniale, miał taki aksamitny, miękki timbre, roztaczał przed nią przebajeczne feerie wizji.

A ją czekało tylko smutne życie, w małym domku za miastem, wśród wyszarzałych tych samych ludzkich twarzy, codziennej zwyczajnej pustki.

Poza tym czuła się dziwnie bezwolną. I była przekonana, że musi zrobić to, czego od niej ten mężczyzna zażąda.

Zaś Elson patrzał na nią wciąż z tym samym uśmiechem.

— Jeszcze jedna — monologował w duchu. — Straszne jakie te kobiety do siebie podobne. I na pewno i ta porzuci tamtego i pójdzie za mną. Bo tak chcę! Ha, ha, ha! — śmiech charczał mu w gardle. — Nie oparła mi się dotąd żadna, dzięki mej potężnej nad ludzkimi duszami władzy. A ona? Owszem! Takie ucieleśnienie wiosny!

— Więc przed skończeniem balu, o trzeciej nad ranem czekam na panią ze swoją limuzyną na ulicy.

— Ależ ja mam narzeczo . . .

Ogromne, przepastne źrenice Elsona wlepiły się w nią rozkazująco. Bezwładnie ledwo dosłyszalnym szeptem — odpowiedziała:

— Dobrze!

*
* *

I Elżbieta rozpoczęła dziwne życie. Opanowana gigantyczną wolą Elsona — porzuciła dom, narzeczonego, rodzinę — stając się jego najpotulniejszą igraszką. On zaś omotywał ją blaskami słów migotliwych, roztaczał złudne wizje, rozdrażniał do szału zmysły. Przelatywał z nią, swą czarną limuzyną Europę od krańca do krańca, wśród ciągle nowych wrażeń — ustawicznie czujny, badawczy, bo przecie pisał swą naukową pracę pt. „Sugestia a miłość". Wiedział, że jej nie kocha, że nie czuje do niej zgoła nic — była mu tylko po prostu potrzebną jako obiekt doświadczalny i z tego był zadowolony. Elżbieta zaś nie widziała poza nim świata. Uwielbiała go, ubóstwiała gorąco, całą swą rozbudzoną teraz żądzą miłości wyobraźnią, ubezwładniona jego sugestywną wolą — trwała w jakimś stanie podobnym do somnambulizmu.

Właśnie pośród szwajcarskich turni wschodziła różana jutrzenka.

— Stefanie, nawet nie wiesz jak bardzo jestem szczęśliwą — mówiła, kładąc mu na ramieniu główkę — ile dałeś mi cudnych chwil — o ja tego nie zapomnę ci nigdy, przenigdy.

A wiecznie drwiący uśmieszek nie schodził z jego warg.

Nagle musnął jej czoło lekko pocałunkiem i jakoś szybko, nerwowo, jakby się chciał czegoś pozbyć, powiedział:

— Zostań tu jeszcze chwilę, ja zaraz wrócę.

Potem wsiadł do limuzyny i zniknął za zakrętem szosy.

*
* *

Ciężko tragicznie mijały Elżbiecie godziny w beznadziejnym oczekiwaniu. Elson zniknął. Została sama, w obcym kraju, nieobznajmiona z ludźmi ni stosunkami, wreszcie pewnego dnia znaleziono ją w pokoju hotelowym — martwą.

*
* *

A w tym samym czasie świat naukowy zdumiał się wspaniałem dziełem dr. Elsona noszącym tytuł „Sugestia a miłość".

„Ten świetny znawca otchłani dusz człowieczych, dał ludzkości pracę epokową — pisały periodyki lekarskie — bowiem ugruntowaną jest ona nie tylko na fundamentach realnej wiedzy, ale tchnie również głębokim odczuciem, rozstrzyganego przedmiotu"...



PODGLĄDANIE WZBRONIONE!

Na lewo:
Po występie jestem właśnie,
Braw dostałem dziś bez liku . . .
Sam baletmistrz mnie pochwalił,
Że mam talent, czytelniku!

Za chwileczkę się wykąpię,
Taki system w szkole bowiem.
Chcesz! Poczekaj na mnie troszkę,
To ci jeszcze coś opowiem . . .

Na prawo:
Chlapu, ciapu — rozkosz istna!
Całe ciało się odświeża.
Pokazowe tańce męczą . . .
Czy ktoś może nie dowierza!

Smukła linia, kształt dziewczęcy . . .
Rozprysk wody je okrywa,
A twarzyczka uśmiechnięta —
I radosna i szczęśliwa!



Poniżej:
Zgrabna nózia — wszystko zgrabne,
Czy to z góry, czy to z dołu . . .
Nawet w łaźni ćwiczą sobie
Baletniczki ze zespołu!

Szkoda tylko, — myślisz sobie
Zachwycony ich zabawą,
Że fotograf, szelma jeden,
Nie stał nieco . . . więcej w prawo . . . !



Fot.: Eurofot. Tekst: Stef-Kra

ZE SCEN i ESTRAD



Na lewo: Znakomity tancerz i baletmistrz światowej sławy Leon Wójcikowski.

Na prawo: St. Jaszkowski — wystąpi wkrótce w jednym z teatrów śródmiejskich



Ostatni poranek niedzielny w warszawskim teatrze Rozmaitości „Jar" oczekiwany był z dużym zainteresowaniem ze względu na swój charakter wielkiego widowiska baletowego wystawionego z udziałem czołowych tancerzy pod kierownictwem baletmistrza L. Wójcikowskiego.

Publiczność mimo pięknej pogody dopisała, scena również niezawiodła. Bogate, barwne obrazy (zabawa u Połowczan, święto w Sewilli, wiosna w lasku) były hucznie oklaskiwane. Na czoło programu wysunęły się jednak przede wszystkim numery solowe. Witold Borkowski w „Rondo Alla Turca" opartym na muzyce A. Mozarta wzbudził zachwyt widowni, lekkością, temperamentem i finezją tańca nadając kompozycji właściwego wyrazu i uroku. Gorąco oklaskiwano również taniec ludowy ludowy Żukowej i Maciaszczyka oraz „Marynarza" w wykonaniu mistrza Wójcikowskiego jak również „suitę kaukazką", w której znów ujrzeliśmy Borkowskiego.

„Wiosna w lasku to urocza fantazja wiedeńska oparta na motywach straussowskich. Tańczą: B. Karczmarewicz, młoda świetnie zapowiadająca się M. Krzyszkowska, W. Borkowski pełen gracji, b. dobry w swej roli Winter i wielu innych. „Święto w Sewilli" przebarwne w nastroju daje przede wszystkim podwójny pokaz kunsztu Wójcikowskiego, jako baletmistrza (układ, operowanie tłumami) i jako tancerza (epizod „torreador").

W „Zabawie u Połowczan" popisowe role mają tancerze. Tancerki poza drobnymi epizodami czynią tylko „tło". Wynika to zresztą z charakteru tańca. Znów podziwiamy: Wójcikowskiego, Borkowskiego i Kilińskiego. Maciaszczyk jako młody połowczanin — pełen wigoru. Nina Rajewska reprezentuje żywioł ognia — pozostali, a więc: Gruszkówna, Sołomska, Jastrzębska, Zelazowska, Lenard, Winter, Andrzejewski, Nolveu Marleu, Żmuda na poziomie.

Dekoracje i kostiumy paryskich pracowni „Folie Bergeres", muzyka w wykonaniu orkiestry „Jaru" pod dyr. St. Nawrota. Jak się dowiadujemy, widowisko to powtórzone ma być na przedstawieniach wieczorowych, co niewątpliwie spotka się z gorącym aplauzem publiczności teatralnej.

Teatr „Misterium" pod dyr. E. Stryckiego wystawił niewidzianą od kilku lat w Warszawie sztukę J. Korzeniowskiego „Majster i czeladnik". Przed wojną sztuka ta przez dłuższy okres czasu nie schodziła z afisza, ciesząc się dużym powodzeniem publiczności.

W porównaniu z inscenizacją jaką widzieliśmy przed kilkoma laty — wprowadzono pewne zmiany a to wstawki wokalne i taneczne. Szkoda tylko, że dyrekcja teatru po macoszemu traktuje sprawę dekoracji. Jeśli chodzi o zespół to na ogół stanął na wysokości zadania. E. Strycka rolę Szaruckiej odtworzyła sugestywnie i bez łatwej do popełnienia szarży. H. Jeleniewska jako Basia brała widownię szczerością i urodą. Z zespołu męskiego wyróżnili się: R. Siedlecki w roli Kacpra, J. Burakowski w walcu, St. Jaszkowski obdarzony miłym głosem, b. dobrymi warunkami zewnętrznymi. Wróżyć mu można dobrą przyszłość operetkową. Reszta zespołu na poziomie.

Zygmunt Bakuła

W ramach imprez organizowanych przez R. G. O. odbyli krakowscy artyści w drugiej połowie maja tournée po miastach podkarpackich: Jasło, Gorlice, Krosno i Sanok. Pozbawiona wrażeń artystycznych ludność przyjęła artystów z prawdziwym entuzjazmem. Franciszka Platówna oczarowała wszystkich pełnią bogactwa głosu, artyzmem wykonania, niezwykle wyrazistą dykcją i oryginalną a przepiękną interpretacją zarówno pieśni jak i aryj operowych. Czesław Kozak zarówno w solowym jak i zespołowym występie z Platówną ujmował salę ciepłą barwą pięknego barytonu. Doskonałe tańce odtworzyli Lidia Kownacka i Jan Fabian. Skecze również cieszyły się powodzeniem u zwolenników lekkich imprez artystycznych, zwłaszcza zaś „Ostatnia dziewica" w świetnym wykonaniu Marii Polatowskiej. Parze śpiewaczej akompaniował młody pianista Adam Galer, wykazujący wielkie zdolności artystyczne. Ta sama grupa artystów zwiedzi w drugiej połowie czerwca dalsze dwadzieścia miast.



Młody, utalentowany pianista i akompaniator Adam Galer.

KĄCIK SZACHOWY NR 13

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Wstęp do omówienia gier otwartych.

Liczne otwarcia, rozpoczynające się ruchami: 1. e2—e4 e7—e5, noszą wspólną nazwę gier otwartych, gdyż prowadzą z reguły do pozycji, noszących charakter otwarty.

Pozycje, wynikłe z tej grupy gier mają na ogół więcej ożywione formy, niż w innych grupach otwarć.

Specjalne piętno gier otwartych ma swe wytłomaczenie w 2 okolicznościach, które jest wynikiem pozycji, wytworzonej po: 1. e2—e4 e7—e5. Pola f2 i f7 są łatwe do zaatakowania, a w centrum jest możliwość szybkiego otwarcia linii.

W pozycji początkowej są pola f2 i f7 najsłabszymi na szachownicy, gdyż są bronione tylko przez króle.

W większości otwarć nie mają te słabe strony większego znaczenia, gdyż przez sposób formowania centrum nie mogą być więcej atakowane. W tym wypadku miarodajnymi są ruchy Gf1—c4 wzgl. Gf8—c5. Jeśli czarne mają piona na d5 lub e6, a białe na d4 i e3, wówczas wspomniany ruch gońca jest udaremnionym, wzgl. unieszkodliwionym. Są też formacje, przy których pion własny zabiera gońcowi pole krytyczne np. przy obronie indyjskiej, z grupy otwarć zamkniętych, gdzie spotykamy się często z formacją pionów w centrum c4, d4, e4 z jednej, a d6, e5 z drugiej strony.

Przy otwartych grach jest inaczej. Linie przekątni c4—f7 i c5—f2 są otwarte i nie mogą być więcej zasłonięte przez piona. Wprawdzie białe mają często sposobność do c2—c3 i d2—d4, przy czym pion d4 może być utrzymanym, lecz szanse analogicznego utrzymania piona ze strony czarnych d5 są bardzo nieznaczne.

Z tego widać, że w tych otwarciach uwydatnia się więcej osłabienie pola f7, niż f2.

Możliwość bezpośredniego zaatakowania pola f7 daje podstawę do różnych podwójnych i potrójnych ataków na ten punkt. Miarodajnym w tym względzie jest ruch Sf3—g5, lecz także kontynuowania Sf3—e5, Hd1—f3 i Hd1—h5 odgrywają tu rolę.

Poza słabym punktem f7 cechą charakterystyczną gier otwartych jest możliwość szybkiego otwarcia linii centrum, które wymaga posunięcia drugiego piona centralnego. Da się to uskutecznić dzięki temu, że pola d4 wzgl. d5 są bronione z góry. Trzeba porównać sytuację po 1. d2—d4 d7—d5, która wyklucza ataki powstałe po 1. e2—e4 e7—e5.

Dotychczas omówiliśmy 2 ogólne cechy charakterystyczne gier otwartych.

Zaznaczamy jednakże wyraźnie, że wymienione cechy charakterystyczne nie są wyłącznymi kwalifikacjami. Gry otwarte wnoszą jeszcze inne zagadnienia do tych otwarć lecz szanse są na ogół biorąc także i tu równe.

Co się tyczy praktycznego wykorzystania omówionych znamion, poucza doświadczenie, że wszelkie bezpośrednie zakusy, ażeby zawładnąć polem f7 nie przynoszą niczego i że raczej marsz piona d2—d4 może obiecywać w sprzyjających warunkach trwałą inicjatywę. To muszą być tylko atuty, które przez białe i analogicznie też przez czarne mogłyby być przy okzaji wygrywanymi, lecz bezpośrednie wygranie takiego atutu nie prowadzi do niczego.

Pośrednio dają się jednak wspomniane cechy odczuć ustawicznie i to w różnoraki sposób. Okraszenie gry niespodzianymi kombinacyjnymi zwrotami i pointami — oto cechy towarzyszące grom otwartym w odróżnieniu od teorii gier innych grup.

Nie tak wiele czasu dzieli nas od epoki, w której teoria otwarć obejmowała prawie wyłącznie warianty gier otwartych. Tak np. w podręczniku Biguera (VIII wydanie), który ukazał się w r. 1916 trktowane są gry otwarte na 656 stronach in quarto, podczas gdy inne mieszczą się tylko na 94 stronach.

Wielka ilość mniej lub więcej forsownych wariantów była jedną z przyczyn, że gry otwarte po r. 1918 znikają prawie z zastosowania praktycznego. Nadszedł czas, kiedy stosowano najchętniej otwarcia i warianty, spreparowane przez samych grających, a to warianty z przebiegiem o charakterze o wiele mniej przymusowym (forsownym), a przede wszystkim warianty, których nie było jeszcze w książkach i podręcznikach.

Lecz teoria śledziła nowe otwarcia, jak cień. Choć brakło tam w dużym stopniu czynnika forsownego, wprowadzono też i tam dość rozgałęzione systemy i można już było przytoczyć dużo źródeł, tam, gdzie sztuczki i fortele okazały się bronią zawodną.

Więc gdy korzyści praktyczne z nowych otwarć straciły już na aktualności rozpoczął się powoli renesans gier otwartych.

Nie objęło to jednak wszystkich gier otwartych.

Gdzie według poglądów nowoczesnych ważniejszym się okazał czas trwania inicjatywy, niż jej intensywność, zwrócono się w pierwszej linii do tych otwarć, które tym modernistycznym zasadom najlepiej odpowiadały, a to do partii hiszpańskiej. Partia hiszpańska daje dobre szanse skromnej, lecz powolnej inicjatywy i jest w ostatnich latach znów chętnie stosowaną (turnieje niemieckie i rosyjskie). Ze względu jednak, że jest dużo trudniejszą i więcej rozgałęzioną z pośród grupy gier otwartych będziemy ją omawiać nieco później, rozpoczynając od łatwiejszych otwarć.

Przede wszystkim podajemy schemat gier otwartych, który daje uczącemu się obraz całokształtu gier otwartych.

SCHEMAT GIER OTWARTYCH.

1. e2—e4 e7—e5

2. Sg1—f3	Sb1—c3 Wiedeńska	Gf1—c4 Gra g. król.	d2—d4 Gamb. środk.	f2—f4 Gamb. król.	inacz. Różne

2 . . . Sb8—c6	Sg8—f6 Rosyjska	d7—d6 Obr. Philid.	inacz. Różne

3. Gf1—c4	Gf1—b5 Hiszpańska	Sb1—c3	d2—d4 Szkocka	c2—c3 Otw. Ponziani
	3 . . . Sg8—f6 Gra 4 skoczk.	3 . . . inacz. Gra 3 skoczk.		

3 . . . Gf8—c5	Sg8—f6 Gra 2 skoczk. w obr.	Gf8—e7 Partia węgierska

4. b2—b4 Gambit Evansa	inaczej Partia włoska.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Studium Nr 6.

K. A. L. Kubbel (nr 72 zbioru).

Czarne: Kh4, Gc2, Gd2, Sa7, pion: f7. (5).
Białe: Kd8, piony: a6, b7, f3, f6. (5).
Białe zaczynają i remisują.

Rozwiązanie problemu Nr 5 (Lohk):

1. K—h1 (grozi 2. G×g6 S—f6 3. S—d4 ×).
1 . . . G—e5! 2. d4! (2. G×g6? S—f6 3. S—d4 G×d4) G×d6 3. S×a7 ×.
1. d4? G—f8!
1. S—c1? G—d4! 2. S—a2 G—c5!

Partia nr 14:

Białe: N. N. — Czarne: Richards

Włoska partia.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 Sb8—c6
3. Gf1—c4 Gf8—c5
4. c2—c3 Sg8—f6
5. d2—d4 e5×d4
6. e4—e5 d7—d5
7. Gc4—b5 Sf—e4
8. Gb5×c6 b7×c6
9. Sf3×d4 Gc8—a6
10. Gc1—e3 0—0
11. Sd4×c6 Gc5×e3
12. Sc6×d8 Ge3×f2 mat.

Partia nr 15:

Białe: Dr J. Selman — Czarne: F. K. Kozelek

grana korespond. w r. 1932.

Partia wiedeńska.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sb1—c3 Sg8—f6
3. f2—f4 d7—d5
4. f4×e5 Sf6×e4
5. Sg1—f3 Gc8—g4
6. Hd1—e2 Gf8—c5
7. Sc3×e4 d5×e4
8. He2×e4 Gg4×f3
9. He4×f3 Hd8×d4
10. c2—c3 Hd4×e5
11. Gf1—e2 Sb8—c6?
12. d2—d4 Gc5×d4
13. Gc1—f4 He5—e7
14. c3×d4 Sc6×d4
15. Hf3—h5 0—0—0
16. Kg1—f2 He7—b4
17. Wh1—c1 Sd4×e2
18. Hh5—g4 Czarne poddały się.

— Już nic nie chcę słyszeć o Kaziu. On mnie okłamuje.
— Widzisz, zawsze ci mówiłam, żebyś wierzyła mu tylko połowę.
— Nigdy mu i tak więcej nie wierzyłąm, ale zdaje się, że wybrałam właśnie tę gorszą połowę.

*

— Ależ Herbercie, jakżeż możesz dać garderobianej 2 zł? — mówi oburzona małżonka.
— Nie mrucz — odpowiada mąż — rozglądając się ukradkiem po hollu — popatrz tylko jaki mi dała kapelusz!

*

Kupująca: — Jak otwiera się tę puszkę?
Sprzedający: — Objaśnienie jest w środku, łaskawa pani.

*

— No, mówi już coś twój mały braciszek?
— Nie, wcale nie potrzebuje mówić, bo jak wrzeszczy to i tak zaraz wszystko dostanie co chce.

*

Pewien podróżny czekał na pociąg. W końcu zniecierpliwiony długim czekaniem zwrócił się do urzędnika kolejowego:
— Ten pociąg ma dzisiaj prawdopodobnie spóźnienie?
— Co to znaczy dzisiaj — odpowiada zapytany.
— Czekamy przecież na wczorajszy pociąg.

*

— Jak się powodzi Marysi?
— Zmiennie. Najpierw była nieszczęśliwie zakochana, potem szczęśliwie zaręczona, później nieszczęśliwie wyszła za mąż, a teraz jest szczęśliwie rozwiedziona.

*

Pewnego dnia otrzymał wuj od swego siostrzeńca list następującej treści:
— Najukochańszy wuju Antoni!
Jak bardzo żałuję, że nie mam do tego czasu twojej fotografii. Możesz sobie wyobrazić moją radość, gdy odkryłem odbicie na banknocie 500 złotowym.
Ponieważ znam cię i wiem, że niechętnie się fotografujesz, a ja jednak chciałbym mieć miłą pamiątkę, przyślij mi taki papierek . . .

POEMAT MARCOWY O KŁOPOTACH PEWNEJ WDOWY

Wdowa w kwiecie czterdziestki, o pięknej głębokiej duszy,
Z nieskazitelną przeszłością, mizernej tuszy,
Właścicielka kilku ruchomości,
Bez wszelkich zaległości,
W celu matrymonialnym poznać pragnie
Młodzieńca łagodnego jako jagnię,
Lat 50—60 niezbyt otyłego,
Z dobrym zawsze humorem, sentymentalnego.
Zgłoszenia do Gońca przyjmuje bez końca.
Po takim ogłoszeniu,
Wdowa w lubym rozmarzeniu,
Pewna dobrych rezultatów,
Oczekuje kandydatów . . .
Zgłosił się tylko jeden, — okaz zdrowy,
Piękny jak gwiazdor filmowy,
Miły, rozmowny, — lecz jakoś zrzedła mu mina,
Kiedy usłyszał, że na obiady bywa konina.
Potem znikł jak kamfora . . .
Wdowa z rozpaczy aż chora.
Lecz wnet minęło strapienie,
Znowu dała ogłoszenie,
Takie jak już było w Gońcu,
Tylko że przy jego końcu,
Jak dobrze przemyślała,
Takie dwa wiersze dodała:
„Opierunek zapewniony i prima wikt
Już lepszej żony nie znajdzie nikt“.
Zgłoszenia do Gońca przyjmuje bez końca.
Teraz na schodach do drzwi wdowy
Stoi ogonek kilometrowy,
(Kto temu nie wierzy,
Niech przyjdzie i zmierzy),
Zatrzęsienie kandydatów,
Wesołków i desperatów,
Starych, młodych, grubych, chudych,
Blondynów, brunetów, rudych,
Łysych także nie brak tu,
Wdowie z szczęścia brak już tchu.
Słuchajcie panny, wdowy, rozwódki,
Wszak morał z tego jest krótki:
(I nie zaprzeczy mi tu nikt)
Że najważniejszy jest: „prima wikt“.

Kalwaryjskim rymem napisała

Joanna Aczkolwiek

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



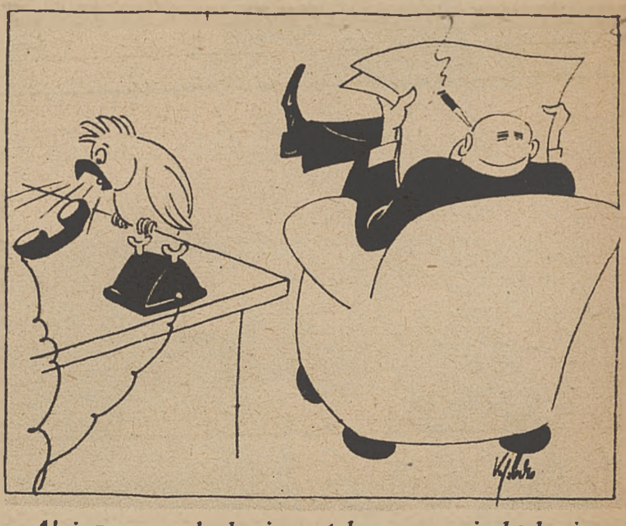
— Mój jak zwykle się spóźnia!!

Hamburger Illustrierte



— Kochasz mnie mój skarbie?
— Ależ naturalnie Matyldo!
— Nie odzywaj się jak rozmawiam z Myszką.

Das Illustrierte Blatt



— Ależ zapewne, kochanie, — tak, masz rację, kochanie,— — tak jest kochanie!!!

Hamburger Illustrierte



— Psiakość, zgrabna bestyjka!



— Pokażę jej, że ja też niczego sobie.



— No, co powiesz...?

Użyteczni przybysze

Poniżej:
O FRYZURKĘ TU CHODZI!
Króliki czesze się dla utrzymania w czystości sierści, ale wełna wyrwana przy czesaniu jest także zużytkowana dla wyrobu nici.



Na prawo:
TROCHĘ CIERPLIWOŚCI MOI MILI!
Króliki angorskie strzyże się nie tylko nożyczkami, ale i maszynką elektryczną.



Potrzeba jest matką wynalazków. Wojna stworzyła wiele nowych potrzeb, a także wiele nowych wynalazków. Wynalazkiem wojennym jest wykorzystanie z odpadków, stwarzanie nowych i zastępczych surowców, racjonalizacja, koncentracja, normalizacja, standaryzacja. Nie wszystko to co wymyśliła wojna, jest obliczone tylko na czas wojenny; wiele wynalazków pozostanie na czas powojenny i dalej będzie pełniło swoją rolę.

Do tego rodzaju „wynalazków", które powinny pozostać i na czas powojenny i na pewno pozostaną, jest hodowla królików angorskich. Przy mniejszym gospodarstwie rolnym znajdzie się na pewno miejsce i czas na hodowlę królików. Dotychczas hodowla królików była obliczona na zyskiwanie skór króliczych lub mięsa. Nie zdawano sobie sprawy lub nie wiedziano o tym, że większą korzyść przyniesie hodowla królików dla wełny. Specjalnie zaś wełna z królików angorskich opłaca się w hodowli, ponieważ jest dłuższa i delikatniejsza, a przez to droższa i więcej opłacalna. Miękkie sweterki i pajacyki, czapeczki i szaliki dla dzieci, a także swetry i szaliki dla dam i panów można tanim kosztem wyhodować w klateczce.

Wełnę odbiera się od królika najczęściej przez czesanie. Czasem wyskubuje się wełnę, ale tylko w okresie lenienia w lecie. Przy dużej hodowli strzyże się króliki nożyczkami lub maszynką. Jest to najzyskowniejszy sposób, bo strzyże się co trzy miesiące. Trzeba tylko uważać, aby króliki na zimę nie zostały gołe, bo nie przetrzymałyby bez wełnianej szaty.

Niezależnie od korzyści z wełny królików mamy także korzyści i z mięsa, gdy króliki z jakichkolwiek powodów trzeba zabić. Hodowla tylko dla mięsa i skórek nie opłaca się absolutnie, bo zysk mamy tylko po śmierci królika, a życie jego choćby krótkie jest bezproduktywne. Dlatego nasi rolnicy i nie tylko rolnicy, ale wszyscy ci, co mają zamiłowanie do hodowli królików i umieją się z nimi obchodzić powinni się zaznajomić z hodowlą królików angorskich, ze sposobem zyskiwania wełny i jej przerabiania.

Nasze ilustracje pokazują kilka fragmentów hodowli królików angorskich na farmie hodowlanej. Nic trudnego! Gorsza i trudniejsza jest hodowla pszczół, a ile mamy już hodowców, a nawet entuzjastów pszczół!? To samo może być i z królikami angorskimi. Wełna jest również przyjemna jak miód.



Powyżej:
CO CIĘŻSZE: KILO PUCHU CZY ŻELAZA!
Gotowy materiał waży się i pakuje w worki dla wysyłki do przędzalni.



Powyżej:
WYNALAZEK PANI DOMU
Zwyczajną maszynę do szycia można przystosować do wyrobu włóczki. Można to robić i na kołowrotku za przykładem naszych prababek.

Fot. Archiwum

Poniżej:
DWAJ PRZEDSTAWICIELE SZLACHETNEJ RASY
Wśród śnieżnej bieli puchu jedynie oczy królików błyszczą odmiennym kolorem rubinów.



z Angory